

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 2 (2/2012) – październik/grudzień 2012

ISSN 2299-5692

copyright © eleWator, Szczecin 2012

redagują:

Paweł Nowakowski (proza, sekretarz redakcji), Paweł Orzeł (film),
Monika Petryczko (muzyka), Arkadiusz Polewka (sztuki plastyczne
i architektura), Cezary Sikorski (eseje i szkice),
Konrad Wojtyła (poezja, redaktor naczelny)

stali współpracownicy:

Łeś Belej (Kijów), Jakub Bińkowski (Londyn), Anna Frajlich (Nowy Jork),
Krzysztof Hoffmann (Poznań), Artur Daniel Liskowacki (Szczecin),
Krzysztof Niewrzęda (Berlin), Małgorzata Południak (Dublin),
Karol Samsel (Warszawa), Andrzej Wasilewski (Paryż),
Grzegorz Wróblewski (Kopenhaga)

korekta: Agata Borowicka i Anna Nowakowska

obraz na okładce: Wojciech Zieliński (www.zielinski.szczecin.art.pl)

grafiki w numerze: Henryk Waniek

zdjęcie na 216 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca:

Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy

71-246 Szczecin, ul. E. Romera 10e

tel. 605 631 746

www.elewator.org

www.fundacja-berezy.org

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja ukazała się dzięki wsparciu Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania



Jan Drzeżdżon	5	Janusz Drzewucki, Elegia dla Jana Drzeżdżona
	6	Krystyna Lewna, Jan Drzeżdżon – knop z Domatowa
	8	Roman Jan Drzeżdżon, Janów dwóch
	11	Jan Drzeżdżon, Ze zbioru nieznanych baśni: Misterium miłości, Łzy Króla Życia, Ogród kwiatów
	26	Karol Maliszewski, Sublimując rzeczywistość w apokryf czyli piętno Drzeżdżona
	28	Andrzej Turczyński, Apokalipsa wg Jana Drzeżdżona
	36	Maria Jentys-Borelowska, Duch światła. O polskojęzycznej prozie Jana Drzeżdżona
	55	Jan Drzeżdżon, Pergamonia (fragment)
	75	Z listów do Jana Drzeżdżona (Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, Donat Kirsch, Henryk Bereza)
	79	Lech M. Jakób, Dlaczego Drzeżdżon?
	81	Jan Drzeżdżon, Ulotna kruchość literatury (moje credo pisarskie)
	83	Paweł Orzeł, Nieznany świat scenariuszy filmowych Jana Drzeżdżona
poezja	93	Grzegorz Wróblewski, Ptaki i delfiny, Kamienie
poezja	94	Kamil Sipowicz, Choroby Kartezjańskie, Makówka
proza	95	Andrij Lubka, Killer
poezja	106	Maciej Melecki, Kolejna fałda, Maż, Przebiegi bez dat
poezja	110	Łeś Belej, mokry palimpsest, kobieta Edgara Poe, pies
dziennik	114	Henryk Waniek, Notatnik i modlitewnik drogowy (fragmenty)
teatr	122	Krzysztof Ćwikliński, Willi Blum
z Paryża	137	Andrzej Wasilewski, Świat jest cierpieniem. Poezja Houellebecqa
z Londynu	145	Noil Branc, Nieistotna żółta sprawa
sztuki plastyczne i architektura	150	Arkadiusz Polewka, 24/50, czcionka na papierze
	155	Tadeusz Szklarski, Sławomir Wunsch, Hologram miasta
	158	Cezary Sikorski, Świat według Brunona Schulza

krytyka literacka	162	Wanda Skalska, Z niebiańskich manowców (Jan Drzeżdżon, <i>Łąka wiecznego istnienia. Wybór wierszy z lat 1973-1990</i>)
	164	Monika Glosowicz, Metanoja, paranoja (Kamila Pawluś, <i>Klaustrofobia na wynos</i>)
	165	Edyta Antoniak-Kiedos, Zobaczyć słowami (Maciej Melecki, <i>Szereg zerwań</i>)
	168	Jacek Sojan, Gra w Królewicza. Filozofie tańca z Kopciuszkiem (Bogdan Zdanowicz, <i>Przebieranka</i>)
	172	Piotr W. Lorkowski, Szczęśliwy powrót (Krzysztof Niewrzęda, <i>Popiół</i>)
	173	Wiktoria Klera, W płynie (Marcin Baran, <i>Niemal całkowita utrata płynności</i>)
	176	Daria Dziedzic, Barwne opowieści. Kilka słów o poezji Marzeny Orczyk-Wiczkowskiej (Marzena Orczyk-Wiczkowska, <i>Grypsy z Panoptikonu</i>)
	178	Krzysztof Szymoniak, Światy równoległe (Karol Samsel, Krzysztof Schodowski, <i>AltissimumAbiectum</i>)
	181	Laura Reszke, Sens życia. O poezji Beaty Patrycji Klary (Beata Patrycja Klary, <i>De-klaracje</i>)
	184	Konrad Liskowacki, Gulasz z Polaka (Krzysztof Varga, <i>Trociny</i>)
	186	Rafał Derda, W każdym levelu nowa piramida (Łukasz Drobnik, <i>Noc-turine. Cunninghamella</i>)
	188	Konrad Wojtyła, Synu, wyluzuj! (Susan Sontag, <i>Odrodzona. Dzienniki, tom 1. 1947-1963</i>)
	191	Paweł Orzeł, Nieustannie na linii ognia (Pier Paolo Pasolini, <i>Po ludo-bójstwie. Eseje o języku, polityce i kinie</i>)
	193	Arkadiusz Siedlecki, Poczytaj mi, kotku! (A.J. Gabryel, <i>Facet na telefon</i>)
muzyka	196	Tie Break. Z zespołem rozmawia Monika Petryczko
	200	Tadeusz Hnat, Meduza Szalona, Szalotka (Witold Szalonek, <i>Medusa</i>)
	202	Monika Petryczko, Hidden Orchestra za pomocą siebie tylko znanej wrażliwości sprawiła tą płytą świat (Hidden Orchestra, <i>Archipelago</i>)
stałe felietony	204	„nie w rzędzie” – Krzysztof Niewrzęda
	206	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, Żyć, obserwować, przemijać i wszystko to spisać. Tomasz Piekło i Paweł Łęczuk
	208	„w swoim tempie” – Krzysztof Hoffmann, 2.0
	210	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Talenty w twarzach Króla
	211	„wściekle sumienie” – Anatol Ulman, Larum Ikają



Henryk
Waniek

Janusz Drzewucki

Elegia dla Jana Drzeżdżona

Szumi dąbrowa, słoneczny brzęczy szept,
w skoszonej rankiem trawie rosa złota,
świszczy skowronek, drąży chodniki kret,
granit próchnieje pod pazurem kota.

Tęcza stworzenia przebija się przez sen,
dojrzałe wiśnie ciekną w dzikim sadzie,
w studni za wioską łańcucha zimny szczęk,
na płatkach leśnej ciszy mech się kładzie.

Oddech żywicy, z północy morski wiatr,
w kościele modli się kaszubska mowa,
nad drogą błyska rozgrzany lotny piach,
złowieszcze chmury płyną z Wejherowa.

W Pucku na rynku kasztana szorstki cień,
w świetle zatoki obcych ludzi twarze,
ołów Bałtyku przepelnia flądry skrzel,
czas zżera z chrzęstem sprężynę w zegarze.

Wszystko tu twoje, jak było tak będzie,
zapachy czerwca i września kolory,
pleśń słodką miedzią rozkwita na dębie,
syn twego syna puszcza statki z kory.

Janusz Drzewucki (ur. w 1958 r. w Kruszwicy) – poeta, krytyk literacki, dziennikarz, wydawca, członek zespołu redakcyjnego „Twórczości”. Mieszka w Warszawie. Laureat Nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny (1988), Nagrody im. Stanisława Wyspiańskiego (1989), Funduszu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki (1989), Nagrody im. Stanisława Piętaka (1991), XVIII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (1995). Autor książek krytycznoliterackich: *Chaos i konwencja* (1988), *Smaki słowa. Szkice o poezji* (1988) *Akropol i cebula. O Zbigniewie Herbertcie* (2004) oraz zbiorów wierszy: *Ulica Reformacka* (1988), *Starożytny język* (1989), *Podróż na południe* (1995), *Światło września* (1998), *Ostatnia niedziela sierpnia* (2006), *Wiersze wybrane* (2010).

Krystyna Lewna

Jan Drzeżdżon – knop z Domatowa

Patrzę na Bielawę. W taflí wody odbijają się smutne o tej porze roku drzewa. Szare, stare, prawie bezlistne topole pamiętają doskonale Jana Drzeżdżona.

– To ten, który mieszkał nad Bielawą, pisarz niedoceniony i nieodkryty jeszcze do końca – mruczą.

Cóż możemy o nim dzisiaj powiedzieć? Że znaliśmy, że był, że żył i synem był kowala? „O, tam mieszkali!” – pokazują ludzie z Domatowa.

– Uczył mnie w szkole – mówi p. Stefania Marszewska. – Dobrym był i wymagającym nauczycielem. – Ale książek nie czytała, bo za trudne, nie rozumiała. Jedną tylko trzyma w domu, *Kòl Biélawë*, dostała ją od Adama Drzeżdżona, syna Jana, na jednym z wieczorków poetyckich poświęconych pisarzowi.

A Drzeżdżon „wyklął” się niepozornie. Można powiedzieć po cichu i bezszelestnie. W wielkiej biedzie, o której nie wstydził się mówić: „Dziadkowy dom był niezbyt dobry, ciągała wilgoć, miałem tylko część łóżka do swojej dyspozycji, gdybym został skazany na taki sam los jak mój dziadek, zasililibym siłę roboczą tego świata [...] należało przynajmniej urodzić się w suchym mieszkaniu, w którym znajdowałyby się książki albo interesowano by się czymś jeszcze poza przeżywaniem kolejnego dnia. A to moje poczucie bezpieczeństwa wydaje się być pełnym nonsensem”.

To właśnie w *Twarzy Boga*, książce autobiograficznej wydanej w 1984 roku, dochodzi do wielkiej spowiedzi Drzeżdżona. Jest ona opowiedzeniem siebie, wyjaśnieniem i oczyszczeniem, czymś w rodzaju Wielkiego Piątku, którego każdy z nas, chociaż raz w swoim życiu, doznaje. Poznajemy przyczynę jego pisania: „Pragnąłem zmienić swoje wyobrażenia o śmierci i zacząłem pisać, czułem bowiem, że obraz literacki jako wyraz ludzkiej postawy jest ku temu najdoskonalszą pomocą”.

Spokój i ciekawość świata przebijają przez jego twórczość, przez obszerny zbiór książek napisanych po polsku, jak i przez prozę i poezję w języku kaszubskim.

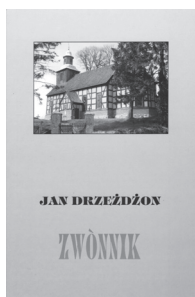
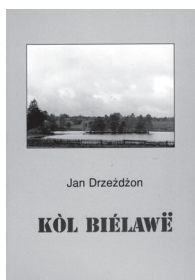
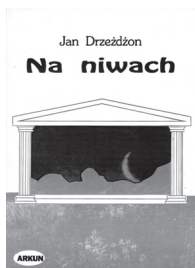
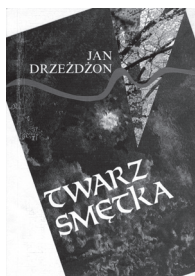
„Janek był ciekaw człowieka” – twierdził Wojciech Kiedrowski w *Paciorkach...* A Drzeżdżon dawał na to dowody. Jego bohaterowie zmagają się z losem, są naznaczeni piętnem. *Upiory* to „Anna” – naznaczona piętnem samotności, „Profesor Górski” – człowiek opętany, szukający odpowiedniego miejsca dla siebie. *Pamiętnik Judasza*, a w nim John Johnson – egoista, samolubny i narcystyczny. Otwiera zakład usługowy dla samobójców, do którego trafia Judasz dźwigający brzemię zdrady. Kasia z Rybaków, bohaterka *Wieczności i miłości* znienawidzona przez ludzi z „osiedla” stara się wyzwolić się z ciężącego nad nią fatum. Jest silna. dzielnie znosi pogardę, odrzucenie, brak miłości, śmierć dziecka. Ma plan. Musi zniszczyć źródło zarazy. Jako stara kobieta podpala port na osiedlu, unicestwiając dalsze rozszerzanie się plugastwa. U boku Katarzyny można postawić Marcina z *Okrucieństwa czasu*, który wypędzony z pustkowie wyrusza w świat, aby „poznać zło” i je pokonać.

Szczególnie bliskie są mi książki napisane w języku kaszubskim: *Kòl Biélawë*, *Twarz Smętka*, *Dzwónnik*. Odkrywam w nich miejsca dobrze mi znane: Mechowo, Starzyno, Wejherowo, Czarny Las, Czechy, Pustki... i ludzi o swojsko brzmiących imionach i nazwiskach: Czapa, Szornak, Potrykus, Błaszcze, Białk, Anna, Mariczka,

Leon, Józefk, Gustk, Julis. Opisywane zostają przywary i zachowania tych, pośród których Jan dorastał. Ciekawe anegdoty z życia domatowian stanowią główny temat prozy napisanej w języku kaszubskim. Drzeżdżon przedstawia ich światopogląd, zaściankowość, pobożność, naiwność i filozofię. Ich prostotę, chciwość, skłonność do obgadywania. Brak inicjatywy w myśl zasady: „Lepiej się nie wychylać”. Wśród tego, wydawać by się mogło, sielskiego życia również czai się zło: Smętek – pusty i szary stwór, o oczach wielkich, czarnych jak „dzure bez dna”. Nie jest to żadna postać, raczej kłęb czegoś szarego, cień, z którym nie wolno się witać, nie wolno zaprzyjaźniać, bo kto mu raz poda rękę, jest zgubiony – przestrzega autor *Upiórów*. Pokraka zagnieżdży się w twoim sercu i już się jej nie pozbędziesz. Wśród różnych wymienionych duchów: „Purtka, co mieszko w gnoju” czy Anioła Stróża, „Smętek, najstarszy i od zawsze tam był”. Więc bójcie się! – krzyczy Drzeżdżon w *Twarzy Smętka* do Kaszubów po kaszubsku, by go lepiej zrozumieli, by nie dali się Smętkowi, ale ciekawość okazuje się silniejsza i w końcu „ludkowje noszą Smętka w sercu”.

Wrażliwość była jedną z dominujących cech pisarza. Wrażliwość i delikatność, jak to wyraził w *Paciorkach Jana Drzeżdżona* jego wielki przyjaciel – Wojciech Kiedrowski: „Podczas majowego spotkania trzy lata temu Janek był przemity. Z pewną rubasznością omawialiśmy aktualne wydarzenia. Janek umiał także słuchać, jego wyciszenie się podczas rozmowy było z tych charakteryzujących ciekawą osobowość. I dopowiedzmy, Drzeżdżon właśnie w kontaktach osobistych był wspaniałym rozmówcą. Dla osób znających go jedynie z publicznych dysput, mógł pozostać w pamięci w innym kolorcie. Na wielkie zgromadzenia wystarczało mu uśmiechu, ale brakowało siły głosu. Głosu nie umiał podnosić, ale własnego zdania bronił pryncypialnie”.

W 1992 roku rozsypały się paciorki Drzeżdżona... Któż zdoła je pozbiierać?



Krystyna Lewna (ur. w 1977 r. w Pucku) – prozaiczka. Wyróżniona w Ogólnopolskim Konkursie im. M. Stryjewskiego (2003). Laureatka Konkursu im. Jana Drzeżdżona (2003, 2004, 2005, 2008). Mieszka na Chmieleńcu, w Bożympolu Wielkim. Publikowała m.in. w „Twórczości” i „Pomeranii”.

Roman Jan Drzeżdżon

Janów dwóch

Kòżdi na tim swiece nosy w sercu swòje Pùstczy. Jeden nó ten órt a drėdzi na jini, ale to nikògò nie minie. Czė to je stòri czė młodi, bògati abò biėdni, kòżdi wlecze ze sobą nen miechùlc z Pùstkamė. A cėż zrobic? To so mùszi jakòs tłuc.
(*Twarz Smėtka*)

Drzeżdżonowa droga przez autobusowà szybė

Jeżdżę autobusem do pracy w puckim muzeum. Codziennie. Tą samą drogą. Wejherowo–Wielka Piaśnica–Domatówko–Domatowo–Leśniewo–Mechowo–Darżlubie–Połczyno–Puck. W tę i z powrotem. Zawsze spoglądam przez szybę autobusu na Mechowo, Domatowo – miejsca pisarza Jana Drzeżdżona. Jedno z wielu miejsc na jego życiowej ścieżce, choć pewnie najważniejsze. W Domatowie urodzony, w Mechowie pochowany.

W Domatowie stoi jego dom rodzinny. Na ścianie tablica z napisem po kaszubsku, zawieszona w 2007 roku. Wcześniej była drewniana, prostsza. W 1997 roku zawisła ta z okazji konkursu recytatorskiego „Bė nie zabėc mòwė starków”, który właśnie tego roku otrzymał imię Jana Drzeżdżona.

Domatowo jest jak miejsca z Drzeżdżonowych opowiadań i wierszy. Wokół las z wielkimi grzybami, choinka, w której chowają się „stròszczy”, jezioro Bielawa z „gladą”, dwa białe łabędzie. Pod lasem drogowskaz „Starzyno 4 km” – nie mam daleko do domu. Wystarczy przejść przez las... W autobusie widzę smutnych ludzi. Pewnie w ich głowach tłucze się uparta myśl: Musi też ten autobus jechać przez takie „barabónė”? Zapewne rozumują po polsku. To przecież młodzi ludzie. Robota Smėtka?

Ja mam czas. Cóż to jest ta godzina z Wejherowa do Pucka? Akurat zdążę przeczytać gazetę, zajrzeć do książki. Tej Janowej też... Szukając natchnienia, szukając ciekawego słowa, szukając zrozumienia... Przejeżdżając przez jego wsie ukryte w Darżlubskich Lasach, zdążę też, choć przez chwilę, spojrzeć na jego ścieżki. Te „barabónė” są jednak piękne. Szczególnie Mechowo. Najpiękniejsza wieś w powiecie puckim. Sławna dzięki osobliwym grotom i szachulcowemu kościółkowi. Wielu zna to miejsce tylko dlatego, że tu, na cmentarzu, leży pisarz Jan. Kilka razy zatrzymywałem się w Mechowie na dłużej. Choć dobrze wiem, pytam młodych ludzi, gdzie znajduje się grób Drzeżdżona. Wzruszają ramionami: „Zapytaj pan kogoś starszego”. Nie pytam.

Grób prosty, kamień, na którym tylko: „Jan Drzeżdżon Pisarz 1937-1992”. Imię, nazwisko, zawód, początek i koniec czasu.

Sławny tatko

Jestem synem Jana Drzeżdżona. Ludzie często się pytają: *Tegò Jana?* No Jana, ale nie tego pisarza. Jestem synem Jana – rogarza. *Aha, tegò ze Starzėna, co ne róż-czi robi!* Miłośnicy tabaki i kaszubskiej sztuki ludowej mojego ojca znają. Latem można go spotkać na różnych festynach. Przy okazji częstowania tabaką, jak ten Remus, rozpowszechnia kaszubskie książki. Wciąż mu mało: *Mdze jaczi festin w na sobòtã? Mdze co w niedzielã? Dòsz tė mie w kùńcu jacze nowė ksążczy?*



Jeździ po tych festynach, częstuje, opowiada i prawi, a w ciągu tygodnia siedzi w swojej piwnicy, wytwarzając różki, „dóžë” i inne produkty z krowiego rogu. „Sław-nego tatka” miałem już jako dziecko. W połowie lat 80. w szkole w Starzynie pracowała polonistka Elżbieta Ścibior (teraz jest dyrektorką szkoły w Jastrzębiej Górze). Rozpowszechniała ona kaszubszczyznę wśród starzyńskich dzieci. Pewnego razu przygotowała targi kaszubskiej książki. Jedną kupił mój brat. Była to książeczka z żółtą okładką pt. *Dzwonnik*. Pewnie kupił ją dlatego, że jej autorem był... Jan Drzeżdżon. Fajnie leżała na półce, może ktoś nawet do niej zaglądał. Kiedy latem przyjechały do Starzyna kuzynki z zachodniego Pomorza, pokazaliśmy im z dumą, jakiego „sławnego” mamy tatka! Ojca, który książki pisze! Po kaszubsku! Pewnie nie wierzyły, że to ich wujek napisał, ale duma jednak była. Przecież na okładce było imię i nazwisko mojego taty.

Wędrówka po Drzeżdżonowych książkach

W dziecięcych latach te daszki i kropki nad kaszubskimi literami bardzo mi w czytaniu przeszkadzały. Do tego wszystkich słów nie rozumiałem. Dziel mistrza Jana, ani innych kaszubskich książek, w tym czasie nie czytałem. To przyszło później. W młodych latach zajrzałem wreszcie do *Dzwonnika*, gdzie znalazłem tego głupiomądrego „Macka z Błędzëkòwa, co pò swiece wãdrowòł” i ten przewrócony drogowskaz, co miał pokazywać Werblinię. Później był zbiór opowiadań *Kòł Bi-élawë*, potem powieść *Twarz Smętka*. Następnie jeszcze kilka polskojęzycznych powieści Drzeżdżona, z których najbardziej lubię *Twarz Boga*.

Drzéždżóna cãžkò zrozumiec. Drzéždżón nie je dlò wszëtczich. Drzéždżón nie je letczy. Drzéždżón je dzywny. Drzéždżón miòł swój zaczarzony swiat – słyszę często od ludzi, którzy czytają jego prozę. Drzeżdżona chwalą, nazywają jednym z najlepszych pisarzy kaszubskich, stawiają w jednym szeregu z Derdowskim, Majkowskim, Labudą...

Nie wiem, czy proza Drzeżdżona jest warta więcej niż pisanie Llosy, Cortazara i Borgesa razem wziętych. Nie wiem, czy Drzeżdżon to polski Kafka. Wiem tyle, że świat z jego opowieści, tych polskich, a przede wszystkim kaszubskich, jest też moim światem. Ta choinka, pustki, jezioro z „gladą”, białe łabędzie, droga na Głuszewo, Smętk, „roztrãbôcz”. Szczególnie lubię tego „roztrãbôcza”, którego mój tata zapędzał na mrozie do worka...

Z Drzeżdżonem łączy mnie Alojzy Budzisz, którego prozę na nowo odkrył dla Kaszubów i dał ją do posmakowania w książce *Modra kraina* polskojęzycznemu czytelnikowi. Wiele lat później, na podstawie tej Drzeżdżonowej pracy, „obrabiałem” znowu teksty mistrza Budzisa i wydałem je wszystkie w zbioru pt. *Dziela*. Drzeżdżon odkrywał i wspierał też innych kaszubskich pisarzy, choćby Stanisława Okonia i Annę Browarczyk. Jego nazwisko można znaleźć w książkach Augustyna Dominika i pierwszym kaszubskim książkowym komiksie *Jachta na dzëka* Józefa Roszmana.

Bë nie zabëc...

Pamięć o Drzeżdżonie wciąż żyje. Jego imię patronuje Szkole Podstawowej nr 5 w Dolnym Rekowie i bibliotece w Chmielnie. Jedna z ulic w Pucku nosi imię Drzeżdżona. Już po śmierci ukazało się kilka zbiorów jego opowiadań, np. *Zwónnik* (2. wydanie) i *Kòł Bi-élawë*. W tym roku wydawnictwo Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego przygotowuje wydanie niepublikowanych baśni dla młodzieży po polsku i w kaszubskim tłumaczeniu. Teatr ze Strzelna w powiecie puckim wystawiał utwory sceniczne przygotowane na podstawie opowiadań *W niedzielny wieczór* i *Mónika*.



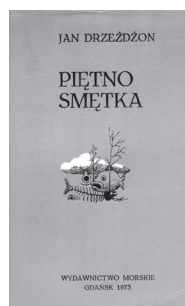
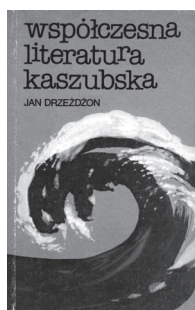
Pewnie tam w niebie uśmieł się Jan, kiedy widział, jak w pewnej wsi bardzo mało ludzi przyszło w sobotę oglądać występ strzeleńskich aktorów. Przecież na plakacie napisano: *W niedzielny wieczór!*

Drzeżdżonowa *Mónika* pod tytułem *Testament* zrobiła prawdziwą karierę filmową. Choć od premiery tego pierwszego w całości po kaszubsku filmu minęło już kilka lat, wciąż jeszcze ludzie pytają, gdzie można dostać tę komedię. W Drzeżdżonowym duchu strzeleńscy aktorzy grają teraz *Testament 2...* a widzowie wciąż proszą o płytę. Trzeba mieć nadzieję, że wreszcie uda się drugą część sfilmować.

Wielkim uznaniem cieszył się prozatorski konkurs imienia Jana Drzeżdżona przygotowywany przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Teraz go nie ma, a przecież wielu młodych pisarzy, w tym ja, debiutowało kaszubskimi utworami napisanymi specjalnie na ten konkurs.

W tym roku w Mechowie, w 20. rocznicę śmierci Jana Drzeżdżona, odbędzie się 20. konkurs kaszubskiej gadki pn. „Bë nie zabëc mòwë starków” dla dzieci i młodzieży z powiatu puckiego. Jak zwykle uczestnicy sięgną po dzieła patrona konkursu. I wtedy zaszumi darżlubski las, w mechowskim kościółku ludzie zadzwonią dzwonami, przylecą dwa białe łabędzie, a na leśnej drodze do Domatowa wyrośnie wielki grzyb, z którego wyjdzie uśmiechnięty nauczyciel...

Roman Jan Drzeżdżon (ur. w 1972 r. w Starzynie, gm. Puck) – dziennikarz, prozaik, poeta, autor sztuk teatralnych, tekstów piosenek i bloga (www.belok.kaszubia.com). Píše po kaszubsku i po polsku. Mieszka w Wejherowie. Laureat Konkursu im. Jana Drzeżdżona, uhonorowany Medalem Stolema (2009). Współautor książek: *Pióro do gilgania / Pióro do gëldzëniô* (2004), *Słowniczek polsko-kaszubski* (2006), *Dzëczë gäsë – Antologia poezji kaszubskiej do 1990 roku* (2004). Wydał: *Czile słów* (2004), *Klëka albo kaszubskie ABC* (2007), *@laże! @lano! Wiérztczi do smiëchù a ùsmiëchù* (2008).



Jan Drzeżdżon

Ze zbioru nieznanych baśni

Misterium miłości

Każdego ranka unosiła się kiedyś nad światem smuga dymu. Wydobywała się ona z najwyższej góry, w głębi której stał garnek z żarem. W żarze tym mieściły się dusze dwojga ludzi, których pragnieniem było tak mieszać się ze sobą, aby już nikt i nic nie zdołało ich rozłączyć.

Stało się to za sprawą Ducha Wszechświata, który stworzył tę górę i umieścił w niej ów żarzący się garnek. Dym wił się po niebie, wokół słońca i wokół nóg świętych i Świętego Piotra, i też po domach ludzkich. Pachniał tak, jak pachnie świeże siano późną wiosną, i mienił się wewnętrznym kolorem, zupełnie jakby ci dwoje wciąż jeszcze żyli. Duch Wszechświata radował się nieraz w głębi swego wielkiego serca, bo wiedział, że naprawdę żyją. Chcieli być dymem, aby nigdy nie utracić swej bliskości, więc są i ładnie przy tym wyglądają, i mogą oplatać świat. Wiją się również wokół ogromnych nóg Ducha Wszechświata i wokół jego potężnych ramion. Chcą mu przez to coś powiedzieć, może to, że są szczęśliwi na zupełnie inny sposób, niż pojmują to ludzie. Albo też chcą go zaprosić do swojego dymnego królestwa. Nie wiadomo, czy się tam zmieści, jest przecież tak potężny, ale ich dusze też są potężne i, być może, zmieściliby się przy jednym stole.

Nieraz na końcu smugi dymu widać było dwa punkciki – ich oczy, którymi patrzyli na świat. Byli ciekawi, jak wygląda z tak wysoka i z takiego oddalenia. Potem dym zniżał się i widziano te oczy nad jeziorem, jak wypatrywały wstającej jutrzeńki. Błądziły również po drogach i lasach, a w ślad za nimi szedł Duch Wszechświata, bo to one go wiodły, a nie on je. Wiedział o tym wielki Duch, toteż z wielką troską dbał o to, aby im nie zakłócić spokoju i ciszy.

Zdarzało się, że musiał być dzwonnikiem na tym świecie, i wtedy, zanim pociągnął sznur dzwonu, uprzedzał je, aby się, broń Boże, nie zlekły. Gdy już były przygotowane, pociągał za gruby sznur i dźwięk dzwonu rozlegał się wszędzie. Drobne, kolorowe punkciki na końcu smugi dymu były obrazem nieśmiertelności, i tak też to rozumiał wielki Duch Wszechświata.

Ale skorupa ziemska była twarda i nie poddawała się wstędze dymu. Działo się tak dlatego, że ludzie byli ślepi i niczego nie rozumieli. Czekali,

aż z tego dymu ktoś wyjdzie. Ale na próżno czekali. Duch Wszechświata współczuł ludziom, ale nie potrafił ich zmienić.

Aż któregoś poranka dym oplótł cały świat i zrobił się jedną wielką kolorową wstęgą. Ludzie wstali rano i zobaczyli wstęgę, i poszli przyjrzyć się jej, aby wiedzieć, co to jest. Niektórzy wzięli topory i siekiery, aby urąbać kawałek smugi i przynieść do domu. Inni mieli ze sobą sieć, aby wstęgę pochwycić. Jeszcze inni poszli po prostu z ciekawości, aby popatrzeć.

I oto wokół wstęgi wyrósł las tak wspaniały, ze strumieniami i zwierzętami, że każdy, kto na niego patrzył, był przekonany, iż są w tych kolorach cudowne moce. Ludzie usiłowali brać rękami te cudowne moce i zaiste, znajdowali w swych rękach diamenty i inne drogie kamienie. Zanosili je do domów, a Duch Wszechświata, jak również Święty Piotr, przyglądali się temu z uwagą. Ale po jakimś czasie ludzie zaczęli handlować tymi drogocennymi kamieniami i wówczas zasmucił się Duch Wszechświata i zapłakał nad kolorową wstęgą, a jego łąy stały się wielkimi górami lodowymi, które oddzieliły wstęgę od ludzi. Ludzie zaczęli przeklinać góry lodowe i walić w nie toporami, bo broniły im dostępu do kolorowej wstęgi opasującej świat, a zawierającej beużyteczne skarby.

Aż znalazł się któregoś dnia młody człowiek, który powiedział, że pokona góry lodowe i wróci obładowany skarbami. Ale nie wrócił. Po nim poszło w góry jeszcze wielu śmiałków i o wszystkich słuch zaginął. W końcu wyruszyła ich śladem uboga dziewczyna, ale i ona nie wróciła. Duch Wszechświata obserwował ludzi i dziwił się, że są tacy chciwi, ale wiedział, że nikt bez jego pomocy tam nie dotrze, a on nie chciał, aby rabowali skarby jego królestwa. Czuł smugę dymu w całym swoim duchowym jestestwie, a punkciki na końcu smugi, oczy tych dwojga, rozpałaly jego serce tak, że stawało się równie gorące jak żar w głębi góry. Gdy serce Ducha Wszechświata rozpałalo się do ostateczności, siadał on pod wielką brzozą, która rosła niedaleko ostatniego lodowca, i przypominał sobie sceny z życia tych dwojga ludzi, którzy teraz zamienieni w smugę dymu opasywali świat kolorową wstęgą. Widywał ich w czas gwiazdkowy, jak szli z lasu po kolana w śniegu, niosąc złote pierniki. Byli zmęczeni, ale trzymali te pierniki drżącymi rękami, a tam, za tym śniegiem, czekała na nich ciepła chata z zapaloną lampą.

Wspomnienie to tak bardzo rozrzewniało Ducha Wszechświata, że jego gorejące serce miękło i topniało jak воск. Bardzo lubił to uczucie i bawił się swoimi myślami. Potem widywał ich na jeziorze, na łodzi, z rybami wydobywanymi z sieci i migocącymi w ich rękach. Pełno światła było wokół nich i Duch Wszechświata lubił usiąść sobie na niebieskim kamieniu i patrzeć na nich. Nie pamiętał, aby choć raz jedno zasmuciło drugie lub wypowiedziało niecierpliwe słowo. Nie zdarzyło się to.

Ale wiedzieli, że nie mają w swoich rękach wieczności i że ich życie, choćby najpiękniejsze, kiedyś się skończy. I zapragnęli mieszać się ze sobą w smudze dymu. Duch Wszechświata sprawił, że tak właśnie się stało.

Dlaczego na tym wielkim świecie było tylko dwoje takich ludzi – zastanawiał się Wielki Duch Wszechświata. Może zrodził ich jakiś nieznany mu zakątek ziemi? Obszedł więc wielokrotnie ziemię naokoło, ale niczego szczególnego nie znalazł.

Wracając kiedyś z dalekich krajów Duch Wszechświata spotkał siedzącego pod drogowskazem człowieka.

– Siedzisz sobie tu spokojnie – rzekł doń – i nie wiesz, że cały świat przepasany jest wstęgą zrodzoną z miłości dwojga ludzi i dopóki tak jest, mogą być spokojni, że ludzie się nie pozabijają z nienawiści.

– Tego akurat nie wiem – rzekł człowieczek. – Ale wiem za to, że przez góry lodowe drąży dziurę ogromna mucha. Nie mam pojęcia, kim ona jest, może to jakiś nieznany Duch.

Poszli obaj podglądać muchę, jak drąży dziurę w lodzie, i stwierdzili, że faktycznie, niewiele brakuje, aby dowiecila się do kolorowej tęczy. Obaj wiedzieli, że to szalona mucha i od jej szaleństwa może przerwać się smuga dymu, nad której całością czuwa Duch Wszechświata.

– Kim jesteś, mucho – wołali obaj w drążoną przez nią dziurę, ale stamtąd słyhać było jedynie chrzęst i jakby wycie wichrów, wyglądało na to, że pomaga sobie skrzydłami.

– Ty jesteś wszechwładnym Duchem Wszechświata – rzekł człowieczek – musisz coś zrobić.

– Nic już nie zrobię – odparł Duch i w tym momencie mucha przewierciła góry lodowe i weszła w opasującą świat tęczową smugę, chcąc ją przerwać. Ale nie udało jej się to, tak bardzo ci dwoje byli w tej smudze pomieszani. Mucha jak szalona miotła się po całej kolorowej wstędze, lecz nie zdołała jej nawet naruszyć. I zamarła, oblepiona kolorami, nasycona żywicą, tak że wyglądała jak żywa. Ludzie widują tę muchę od czasu do czasu w bursztynie – jest wciąż jak żywa.

Duch Wszechświata śmiał się zadowolony, że nic się smudze nie stało, ale od tego czasu przez dziurę wydrążoną w górach lodowych wiał straszny wiatr i nikt nie mógł w pobliżu mieszkać. A Duch Wszechświata, jak i człowieczek wiedzieli już, że nie jest możliwe przerwanie kolorowego pasma dymu opasującego ziemię, bo ktokolwiek się w jego wnętrzu znajdzie, od razu się zagubi i nawet punkciki będące oczami kochanków nie pomogą mu ustalić, do kogo czyje oko należy.

W końcu Duch zapytał człowieczka, po co tu przyszedł. Człowieczek odparł, że miał nadzieję dostać się przez ową dziurę w lodzie do środka i zobaczyć

z bliska tęczę, o której tyle słyszał. Ale z powodu strasznych wiatrów stało się to niemożliwe.

– Mówi się – powiedział człowieczek – że jeżeli ktoś dotknie tęczy, uzyska nieśmiertelność.

– To prawda – potwierdził Duch – tak się mówi i ja w to wierzę, ale jeszcze nikt tego nie dokonał i pewnie nie dokona.

– Ja jestem bardzo uparty – rzekł człowieczek – i bardzo mi zależy na uzyskaniu nieśmiertelności.

Niedługo po tej rozmowie Duch Wszechświata zobaczył, jak człowieczek wchodzi do dziury w lodach. Przed wiatrami chronił się bardzo dziwnym żaglem. Ale w pewnym momencie tak go wciągnęło, że zniknął, a z drugiej strony wyleciał sam żagiel. Duch zastanawiał się dość długo, skąd przyszedł i dlaczego siedział pod drogowskazem, może pamiętał tamtych dwoje i chciał im coś powiedzieć. Ale co?

Wiele jest tajemnic na świecie i Duch zdawał sobie z tego sprawę.

Postawił sobie złoty stół tuż obok oczu tamtych dwojga, usiadł za nim, po lewej stronie miał góry lodowe, a po prawej słońce. O ludziach zapomniał. Pił sobie słodki nektar i przyglądał się oczom – punkcikom na końcu kolorowej wstęgi dymu, tym, które były samą wiecznością. I wtedy dym oplótł nogi złotego stołu i Duch nie był odtąd sam. Pojął, co to jest. Pojął całym sobą, i zadrżał wszechświat, a ludzie poczuli strach. Tacy mali ludzie. Zrozumiał, co znaczy nie być samym. A przedtem, gdy szybował między gwiazdami, nie zdawał sobie z tego sprawy. Cieszył się więc teraz tak bardzo, że ręce mu drżały i co chwila sięgał po kielich ze słodkim nektarem.

I wtedy znów pojawiły się łyzy w jego oczach i spadły na ziemię, a wokół nich owinał się dym i powstało z niego tamtych dwoje ludzi, których pamiętał. Usiedli przy złotym stole naprzeciw Ducha Wszechświata, a byli tak dobrzy i szlachetni, i mieli w sobie tyle miłości, iż mogli obdarzyć nawet jego, Wielkiego Ducha. Pojawili się tu, przy jego stole, na chwilę, ponieważ powołał ich do życia swoimi łzami, i mają czas do północy, gdy znów staną się smugą dymu.

– Mamy więc wiele czasu – wykrzyknął Duch – będziemy mogli rozmawiać aż do północy. – Zgarnął obiema rękami naręcz gwiazd, aby im świeciły, napełnił nektarem kielichy i rozsiadł się wygodnie. A oni dotknęli rękami złotego stołu i w tym miejscu od razu pojaśniało i świat zrobił się kryształowy. Duch czuł ich obecność, żar bijący z rąk i twarzy, a szczególnie blask oczu. Ogrzewał się w tym cieple, bo wśród gwiazd było zimno i nikt nie doświadczył tego chłodu tak dotkliwie jak on.

Wziął jedną gwiazdę z nieba, położył na stole i porównywał jej chłodny blask z tym, co tu mieli. Wiedział, że północ się zbliża, i właśnie dlatego chciał

nacieszyć się ich obecnością. Oboje byli ubrani na biało, tak jak kiedyś, gdy brnęli w głębokim śniegu. Nieśli wówczas zapalone łuczywo, a teraz sami byli płonącym łuczywem. Ujęli gwiazdę i położyli na wierzchołku jednego z lodowców, skąd świeciła. Potem zdjęli słońce z nieba i położyli na złotym stole, tuż przed brodą wielkiego Ducha Wszechświata. I nastąpiło zjednoczenie w tym słonecznym świecie, Duch zmieszał się z nimi w jedną smugę dymu, a na jej końcu widać było teraz więcej oczu.

Słońce leżało na stole tak długo, że ludzie zaczęli się niepokoić i w końcu powstał wielki strach, gdzie się podziało. Latali samolotami i wchodzili na najwyższe góry w poszukiwaniu słońca, aż zauważyli je leżące na złotym stole. Wtedy wzięli długie, bardzo długie żerdzie i jęli je spychać z powrotem na niebo, aby im świeciło jak przedtem i jak najdłużej. Ale słońce było już inne, przeniknięte zapachem rąk tamtych dwojga, którzy osiągnęli wieczność. Ludzie odczuwali to szczególnie rankami i ogromnie się cieszyli. Wiedzieli, że nigdy nie dojdą do złotego stołu, gdzie ono leżało, byli za słabi, za leniwi i za mali, a również za głupi. Ale też nie spodziewali się, iż będzie im dane, że pewnego poranka, właśnie za sprawą tego odmienionego słońca, poczują na własnych twarzach dotyk rąk tamtych dwojga, którzy siedzieli swego czasu przy złotym stole z Duchem Wszechświata.

A jednak poczuli go i czują, o każdej porze, również wieczorami i nocami, i gdy idą do pracy. On to sprawia, że mogą się śmiać i radować, mimo iż tak daleko i niedosiężnie znajduje się stół, przy którym odbyła się Wielka Uczta.

A o owej Wielkiej Uczcie opowiadają sobie legendy i wierzą w nie. Głównymi postaciami owych legend są zawsze trzy istoty zmieszane ze sobą w kolorowej smudze dymu opasującej świat. Kolejne pokolenia zmieniają tylko ich dzieje, dodając coraz to inne szczegóły. Mówią na przykład, że przy złotym stole siedział również ptak złotopióry i sam stwórca tego świata. Możliwe, że tak było, bo stół był szeroki i jakieś ślady po nim pozostały. Innym razem twierdzą, iż z mórz wypływały perły i bursztyny, aby uczestniczyć w tej uczcie życia. Wreszcie nastąpiło takie pokolenie, które orzekło, iż owa uczta była narodzinami miłości. I ludzie odtąd wierzą w to, iż przy owym legendarnym złotym stole, obok gór lodowych, za sprawą dwojga ludzi zamienionych w smugę dymu, dokonało się wielkie misterium miłości. Misterium to wciąż się odbywa i widać je w ludzkich oczach, w słowach, w gestach, w śpiewach i nawet w umieraniu. Wszędzie jest pełno tego misterium, należy tylko patrzeć dokładnie na usta i ręce ludzi. A stało się to za sprawą czasu, który przyniósł taką wiedzę i takie rozwiązanie.

Dawne pokolenia nie przypuszczały, że kiedykolwiek coś podobnego nastąpi. Ale czas zmienia układ gwiazd i położenie słońca, i ludzkie myśli.

Kiedy ludzie tworzyli tę swoją legendę, z raju wyszli Adam i Ewa, a za nimi wąż, i usiedli przy owym stole. Nie było nektaru ani nie sięgnęli gwiazd lub słońca. Za to wąż ukąsił i Ewę, i Adama w nogi. I zostali wypędzeni z raju. I od tego czasu ludzie boją się węża, ale mają nadzieję, że nie dosięgnie ich swym jadem.

Łzy Króla Życia

Był taki czas, że światem rządziła zła czarownica. Była tak brzydka, że nikt nie chciał na nią spojrzeć, a ona najbardziej lubiła wychodzić nocą, gdy wszyscy spali. Mogła wówczas stanąć przy jeziorze i rozprostować swoje stare kości, i pomyśleć, co by tu złego zrobić dla swej uciechy. Kiedyś chciała wypić całe jezioro, ale bała się, że pęknie. Nie znosiła piękna na świecie, uważała że jest niepotrzebne i bardzo szkodliwe. A jeszcze więcej nienawidziła dobra. Wystarczyło, że dowiedziała się o kimś, kto ma dobre serce, wówczas tak długo nosiła ze sobą garść jadu, aż tego dobrego człowieka niepostrzeżenie dopadła i wrzuciła mu jad prosto w serce. Podobnie się działo, gdy słyszała śpiew ptaka w lesie, wtedy mruczała, wołała, krzyczała głośno wszędzie, aby tylko zagłuszyć słodki ptasi śpiew. Nieraz jej się to udawało, ale nie zawsze.

Żyła wtedy na zamku piękna księżniczka, która miała tak dobre serce, że ptaki niebieskie siadały blisko jej rąk, oczu i ust. Ludzie w jej obecności stawali się lepsi, nie zdarzyło się, aby ktoś się przy niej zdenerwował.

Księżniczka lubiła zbierać poziomki i wtedy spotykała ptaki niebieskie, które siadały na jej ramionach i śpiewały tak głośno, że cały las drżał, a poziomki robiły się jeszcze bardziej czerwone, zaś wokół było pełno soku i można się było w nim nawet schować.

Zła czarownica dobrze знаła piękną księżniczkę i szczególnie jej nienawidziła za jej urodę i dobre serce. Obmyślała, co z nią zrobić, i paliło ją w gardle, gdy tylko pomyślała o tej pięknej dziewczynie.

I tak któregoś ranka, gdy księżniczka kąpała się w morzu, zamieniła ją w białą rybę. Odtąd w falach morskich pływała biała ryba zupełnie inna niż pozostałe. Te zaś patrzyły na nią najpierw ze zdziwieniem, potem z niechęcią, a na końcu znienawidziły ją za to, że jest inna od nich. Musiała się kryć po głębinach i zatoczkach.

W jednej takiej zatoczce spotkała Króla Życia, który płakał złotymi łzami, a spadały te łzy pod jego nogi i można się było nimi bawić lub wśród nich przepływać, co biała ryba czyniła. Początkowo nie знаła przyczyny, dla której Król Życia płakał, lecz wkrótce dowiedziała się, że to z jej powodu. Biała ryba dziwiła się, że Król Życia, zamiast walczyć ze złą czarownicą, płacze

złotymi łzami, w dodatku w takiej na uboczu leżącej zatoczce. Jednak na znak, iż to rozumie, podpłynęła doń i trąciła go w nogę, a on zobaczył ją i ukląkł, i chciał, aby podpłynęła jeszcze raz. Ona jednak tego nie uczyniła, czekała niedaleko, była bowiem teraz rybą i bała się wszystkiego, nawet jego, przyjaznego sobie, Króla Życia. Wtedy Król Życia zamienił się w jedną ze swoich złotych łez i tak bardzo błyszczał, że biała ryba, która miała serce pięknej księżniczki, nie potrafiła się oprzeć, podpłynęła i połknęła łzę. Gdy to się stało, pojaśniała cała zatoczka i powstał tam maleński świat z żywą księżniczką i Królem Życia, do którego nie miała dostępu zła czarownica. Wokół tego maleńkiego świata był złoty płot ułożony z łez Króla Życia. Ale zła czarownica podchodziła do tego płotu i szukała dziury, przez którą mogłaby wejść, lub też bramy uchylonej na tyle, aby mogła przecisnąć się do środka. Król Życia pilnował jednak, aby brama była zawsze zamknięta i aby w płocie nie było nigdy żadnej dziury.

Kiedyś czarownica wsadziła głowę w lekko uchyloną bramę, akurat w chwili gdy nie opodał przechodziła księżniczka.

– Dam ci poziomek – zawołała czarownica – uchyl tylko bramę, tak abym weszła.

Księżniczka już miała to zrobić, gdy nadszedł Król Życia. Pokazał czarownicy piękny ogród z kwiatami, mówiąc: – Ten świat nie jest dla ciebie, zrodziła się noc i musisz iść w cień tamtego świata, ta brama będzie przed tobą na zawsze zamknięta. – Czarownica widziała, że nie przekona Króla Życia i odeszła w swój ciemny świat, tam, gdzie najlepiej się czuła, postanawiając, że nie poprosi ich więcej, aby wpuścili ją do swego pięknego ogrodu, lecz po prostu zniszczy go. „Muszę to zrobić” – powtarzała z zaciśniętymi zębami.

Król Życia lubił przesiadywać z piękną księżniczką na błękitnych kamieniach i opowiadać o czasach, gdy ona pływała w morzu jako biała ryba. „Nie były to dobre czasy – stwierdzali jednomyślnie – wtedy wszystko zależało od czarownicy. A teraz jest tu maleński świat, zupełnie od niej niezależny i – nie wątpili – jej noga nigdy tu nie postanie”. Ich mały świat istniał poza jej nocą.

Ale księżniczka bardzo tęskniła do swego zamku i od czasu do czasu mówiła mu o tym. Król Życia odradzał jej jednak odwiedziny w zamku, mówiąc, że czarownica na pewno na to czeka.

Jednak księżniczka w końcu postanowiła, iż ruszy do zamku. Król Życia otworzył bramę ich kolorowego świata i poszła. Szła dzień i noc, i znów dzień i noc, aż usiadła pod wysoką górą bardzo zmęczona i zasnęła. I wtedy zjawiła się czarownica. Stała i długo przyglądała się pięknej dziewczynie, i myślała, jak zniszczyć w niej to, co najlepsze, w końcu wyjęła z torby cierń i wbiła go

śpiącej we włosy i w głowę. „Zabij jej dobroć – mamrotała – zabij! Nie chcę, aby w moim świecie żył ktoś taki, kto ma serce przepojone dobrocią. Nie chcę, aby to była ta dziewczyna”. W chwili gdy wypowiadała te słowa, na dno duszy księżniczki spadał ciężki jad zatrutego kolca i zmienił ją. Obudziła się i zobaczyła czarownicę, która wydała jej się dobra. Zapomniała o zamku, o Królu Życia i rzekła: „Chcę iść z tobą”. Na to czekała zła czarownica. Wzięła dziewczynę za rękę i poprowadziła ją do wnętrza góry, gdzie zamieszkały. Nikt teraz nie wiedział, gdzie się podziała piękna księżniczka, nawet Król Życia, który siedział w swoim świecie i wspominał dawne czasy, gdy ona była tu z nim razem. Jedynie ptaki niebieskie, które przelatywały ponad górą czarownic, widywały księżniczkę, ale nie wiedziały, co tam robi.

A ona codziennie wychodziła na zbocze góry z zapaloną lampą i wskazywała ptakom ich kierunek, potem przynosiła miotłę i zamyślała suche liście, które w nocy naniósł wiatr. Rozmawiała z tymi liśćmi i z ptakami, opowiadała im, jak w nocy spała i że najbardziej lubi poranki, bo może wszystko zobaczyć w jasnym słońcu. Mieszka w głębi góry, ale najbardziej lubi wychodzić na jej zbocze. Zarówno ptaki niebieskie, jak i liście słuchały z uwagą tych słów i nieraz opowiadały jej o swoich lotach i o wiatrach, które je znoszą raz w jedną stronę, to znów w drugą.

Kiedyś przelatujące ptaki niebieskie usiadły na zboczu góry rankiem i czekały, aż ich młoda przyjaciółka wyjdzie z wnętrza. A gdy wyszła, powiedziały, iż chcą jej podziękować za to, że zostawia im na samym wierzchołku okruchy chleba i mogą się wzmocnić i lecieć bez przerwy przez góry lodowe, gdzie nic nie ma do jedzenia. Chcą ją też zapytać, dlaczego jest taka inna niż stara czarownica i czemu nosi na głowie chustkę w dzień i noc.

Ona uśmiechnęła się i odrzekła, że na pewno starość spowodowała, że czarownica jest taka zła i w młodości musiała być inna.

– Nieprawda – wołały ptaki niebieskie – my ją pamiętamy zupełnie młodą, była dokładnie taka sama jak teraz.

Księżniczka nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na to ptakom niebieskim, może to prawda – myślała – że urodziła się w mrocznej górze i dlatego zawsze taka była. Żal jej było starej czarownicy, ale nie wiedziała, co zrobić, aby nie była taka zła i świat przez to nie był taki ponury.

– Noszę chustkę na głowie – mówiła ptakom niebieskim – bo ona tego chce, mówi, iż są tu wielkie przeciągi i mogłabym zachorować.

– Na pewno jest inny powód, dla którego każe ci nosić chustkę – rzekł jeden z ptaków i usiadł na jej ramieniu, i zajrzał pod chustę, i zobaczył zatruty kolec, i dziobnął węń, i wyciągnął go, a jednocześnie sam padł martwy. Księżniczka się obudziła, nie wiedząc, gdzie jest i dlaczego leży przed nią ten martwy ptak.

Wtedy wybiegła z wnętrza góry zła czarownica, weszła w martwego ptaka i zaczęła krążyć ponad górą. Inne ptaki, przerażone, patrzyły, co się dzieje, po czym udały się za śnieżne góry, nie mogąc pojąć, że takie rzeczy mogą się zdarzyć na świecie.

Tymczasem czarownica-ptak krążyła nad górą i krążyła, aż w końcu wydobyla z wierchołka szary popiół, wzięła szczyptę w dziób i sypnęła nim w oczy księżniczki, a ta od razu zaniewidziała.

Niezatrzymywana przez czarownicę poszła w świat ślepa, nie wiedząc ani dokąd idzie, ani co ją otacza. Gdy czuła, że ktoś ją mija, mówiła: – Gdzie zostało moje światło?

Król Życia zobaczył ślepą księżniczkę i zapłakał diamentowymi łzami, i ogroził nimi nowy świat, i zaprosił ją tam. Ona jednak nie widziała nic i wciąż powtarzała: „Kto zabrał moje światło?”. Wiedziała, że jako ślepa nie dojdzie donikąd, a nawet gdyby przypadkowo dotarła do zamku, nikogo tam nie zobaczy. Ani przyjaciół, ani ojca i matki, ani koni, ani swojej komnaty.

Poczuła natomiast zapach jabłka, wyciągnęła przed siebie rękę i dotknęła słodkiego, okrągłego, pachnącego owocu, i wtedy się rozplakała. Rozpacz ślepej Księżniczki była stokroć większa aniżeli Króla Życia. Nie chciała, aby tak zostało. I nie mogła zrozumieć starej czarownicy, dlaczego ją tak bezwzględnie prześladowała. Przecież służąc u niej w owej mrocznej górze starała się wypełniać wszystko jak najlepiej. Wokół góry panował zawsze porządek i czarownica była z niej zadowolona, choć nigdy tego wyraźnie nie powiedziała. „Nie można zrobić nic potworniejszego niż kogoś oślepić – biadała księżniczka. – Wolałabym być kaleką bez nóg i rąk, brzydką i starą, nawet karlicą, ale nie ślepą”.

Zła czarownica cieszyła się, że w końcu pokonała dobrą i piękną księżniczkę i teraz już nikt na świecie nie będzie jej denerwował tak jak ona właśnie.

Król Życia musiał ślepej dziewczynie opowiadać, co akurat widzi, jakie chmury płyną po niebie, czy róże rozkwitły w pełni i jakie są jeszcze kwiaty w ogrodzie. Opowiadał jej o tym bardzo dokładnie, tak że mogła sobie wyobrazić kolor każdego płatka, migotanie kropel rosy i odbłaski błękitnych kamieni, na których oboje siedzieli.

Zdarzało się, że opowiadał jej o cudnych ogrodach, których tu nie było, i wtedy pytała: „Powiedz, czy są tu naprawdę, czy tylko o nich opowiadasz”. „One istnieją naprawdę” – odpowiadał Król Życia i nie kłamał, bo wierzył w ich istnienie, choć ich nie widział. Księżniczka w takich chwilach odczuwała głębokie zadowolenie. Chociaż nie mogła tego wszystkiego zobaczyć, miała przy sobie Króla Życia, który jej o tym opowiadał.

Któregoś dnia spadła na świat mgła, która przemyła oczy księżniczki, i oto dziewczyna ujrzała znów całe swoje otoczenie. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. „Kto zesłał na świat tę mgłę?” – myślała. Naraz przypomniała sobie, że podczas służby u czarownicy była dobra również dla nieba. Omiatała je z mgieł i z żółtych liści. Teraz niebo odwdzińczyło jej się.

Widząc jej roziskrzzone oczy, ptaki niebieskie machały do niej skrzydłami. Śmiała się do nich, pytając, czy jest z nimi ów ptak, który padł martwy przy wyciąganiu kolca z jej głowy. Ptaki odpowiedziały, że jest, ponieważ ta sama mgła, która oczyściła jej oczy z popiołu, przywróciła mu życie. Potem ptaki pytały ją, czy znów wybiera się do zamku, a ona odparła, że tak.

I któregoś dnia pożegnała się z Królem Życia i udała się w daleką drogę do zamku, w którym się urodziła i gdzie była kiedyś księżniczką.

Stara wiedźma poplatała tak wszystkie drogi, że księżniczka zabłądziła i znalazła się w mieście, w którym było dużo złodziei. Obstawili ją naokoło zastanawiając się, co mogliby jej ukraść. Ale nie miała nic poza swoim słodkim uśmiechem, a tego nawet oni ukraść jej nie mogli. Potem mijała inne miasta, a drogi były coraz bardziej poplątane.

W końcu zobaczyła zamek. Uradowana rzuciła się ku niemu, lecz on zniknął, a na jego miejscu siedziała czarownica. Księżniczka nie zlekła się, lecz podeszła do niej, pytając, czy nie zna drogi do zamku, którego szuka.

– Jest za tym lasem – odparła stara.

I faktycznie był tam. Ale w zamku już nikt księżniczki nie poznał. Bardzo starzy ludzie, których tam zastała, opowiadali, że słyszeli o księżniczce, która została zamieniona w białą rybę. W istocie nie byli oni starzy, tylko czarownica nałożyła im stare twarze i pomieszała w głowach.

Księżniczka poszła do swej komnaty i tam została. Siedziała i wędla, jak świeży kwiat na mrozie. To, że nie poznano jej w zamku, w którym się urodziła, było nie do zniesienia. Stara i zła czarownica dobrze o tym wiedziała, dlatego zmieniała nawet czas w zamku. Gdy księżniczka zwiędła i został z niej jedynie cień, do jej komnaty wszedł ktoś, kogo zwano wiecznym wędrowcem. Słyszał on o jej losie i chciał na własne oczy zobaczyć dobrą i piękną księżniczkę, a przy okazji dowiedzieć się, czy naprawdę nie ma dla niej żadnego ratunku.

– Jest ratunek – rzekła ona. – Musiałby w zamku znaleźć się ktoś, kto by mnie rozpoznał. Wtedy cała moc starej czarownicy nad światem pękłaby niczym bańka mydlana.

Któregoś dnia przyprowadził wieczny wędrowiec do komnaty księżniczki ducha tego zamku i zapytał go, czy poznaje tę młodą dziewczynę, a właściwie jej cień tu siedzący. Duch kiwnął głową i cała moc złej czarownicy w jednej chwili zginęła. I ludzie na zamku przypomnieli sobie swoją dobrą i piękną księżniczkę.

Ogród kwiatów

Bardzo dawno temu na krańcu świata kwitł ogród tak piękny, że nikt równie pięknego nie widział ani przedtem, ani potem. Kwiaty miały w sobie taki czar życia, że najchłodniejsza noc rozpalala się niczym płomień. A płatki tych kwiatów rozmawiały ze sobą po cichu i słychać było ich szept od jednego krańca świata do drugiego.

O czym rozmawiały kwiaty?

Otóż opowiadały o tym, co widziały nocą, kto tędy przechodził, kto siedział w kącie ogrodu, a kto spadał z nieba na ich kolorowe płatki. W najdalszym kącie ogrodu lubiło siadać Nieszczęście. Było takie nieszczęśliwe, że chwilami zamieniało się w jedną wielką łzę, która błyszczała na tle nieba. A kwiaty widziały to i czekały, co będzie dalej, czy ta łza potoczy się po świecie, bo wówczas zapłakałoby bardzo wielu ludzi, a nawet niektóre kamienie, te, co nie zdążyłyby skruszeć.

Ale Nieszczęście znów stawalo się sobą i żal było patrzeć na nie, miało szare, połatane ubranie, twarz chowało w cieniu i nikt poza kwiatami go nie widział. Lubiło siedzieć w swoim kącie ze swym nieszczęśliwym spojrzeniem. Nie myślało nigdy, aby być czym innym, nie wiedziało też, czy jest mu dobrze, czy źle, myślało, że tak musi być i to jest jego miejsce. Wiedziało, że kwiaty mu się przyglądają i nieraz było zadowolone z tego, że ktoś się nim interesuje, a innym razem nie, wtedy chowało się w cień, aby być jak najmniej widocznym.

Od czasu do czasu nieszczęście rozpełzało się po świecie i wtedy nawet kwiaty płakały, bo zdarzały się rzeczy, które nikomu nie mieściły się w głowie. A gdy już podpełzało do mórz i oceanów, wówczas kwiaty zaplatały się w wieniec i zbierały całe hałdy błota i szlamu, same się przy tym brudząc i częściowo więdnąc, ale doprowadzały do tego, że ono znów siedziało w kącie ogrodu i od czasu do czasu zamieniało się w okrągłą i gorzką łzę. Kwiaty, patrząc na tę łzę, drżały tak jak promienie w jej wnętrzu. I to świadczyło, że kwiaty miały duszę. Dusza ta była taka kolorowa i piękna, że cały świat czuł jej obecność i można powiedzieć, iż były to czasy rajskie. Szkoda, że już nie ma tego ogrodu i rozmawiających ze sobą kwiatów, tak, wielka to szkoda. Gdyby był ten ogród i te kwiaty, ludzie byłiby dla siebie inni, nie tacy źli i bez serca. Byliby dobrzy, nieśliby sobie pomoc i współczucie w czasie bólu lub choroby. Naprawdę jest źle, że nie ma tego ogrodu.

Ale trzeba wiedzieć, że w ogrodzie siedziały inne postaci, na ogół ukrywające się gdzieś po kątach. Były tam i Smutek, i Radość, i Wesołość, i Starość, i Muzyka, i Świergot, i Strach, i Rozkosz, i Zaduma, i Zamyślenie, i Choroba, i Pycha, i Wielkość, i Miłość, i Zwątpienie, i Śpiew, i Głód, i Lenistwo,

i Obżarstwo, i Zarozumiałość, i Nienawiść. Można powiedzieć, że ogród był pełen i kwiaty mogły tu dzień i noc obserwować, co się dzieje.

Bywały sceny bardzo komiczne. Oto któregoś dnia Głód był tak wygłodzony, że w ogóle zniknął i kwiaty zgadywały, gdzie mógłby być. Czerwony, krwisty mak mówił, że jest w jego kielichu, bo czuje się jakoś nieswojo. Kwiaty śmiały się z maku, mówiąc, że może to mrówka albo spojrzenie Ducha Drzew. Mak się zawstydził, wiedział, że kwiaty z niego żartują, bo nieraz opowiadał, jak bardzo lubi, gdy patrzy nań Duch Drzew, czuje wówczas szmer życia przesuwający się po wszystkich jego płatkach. „To on na ciebie patrzy – śmiały się kwiaty – to na pewno on”. Mak się tak rumienił, że aż ziemia wokół niego robiła się czerwona, lecz nie można powiedzieć, aby miał za złe kwiatom te uwagi, naprawdę lubił, gdy Duch Drzew nań patrzył i sprawiało mu przyjemność, że kwiaty mówiły o tym publicznie. Na moment odkrywały jego duszę, której piękno było widoczne w ogrodzie i wszyscy czuli jej obecność, a nawet widzieli w owej zaczerwienionej ziemi.

Głód w pewnej chwili jakoś się widać wzmocnił, tak że kwiaty mogły go widzieć i pokazać makowi, aby już teraz nie myślał, iż jest w jego kielichu. Śmiechu było co niemiara, ale nie dowiedziano się, gdzie naprawdę Głód się tak długo podziewał. Kwiaty nie mogły zrozumieć, dlaczego Głód tak potwornie pości. W końcu czy naprawdę musi?! Jest przecież tak chudy, że mógłby przeciąć płatek maku samym swoim spojrzeniem. Śmieszył niektóre kwiaty tym, że chodził zgięty wpół, jakby się już nigdy nie miał wyprostować. Ale też bywały zaniepokojone, gdy nagle zniknął, a działo się to dość często, gdy szczególnie głodował, i wtedy nikt nie wiedział, gdzie się zawieruszył. Mógł być gdzieś w świecie, i tak też się zdarzało, a kwiaty poznawały to po tym, że nagle gdzieś wielu ludzi marło z głodu, szalał, zgięty wpół, wygłodzony do nieprzytomności. Nie mogły nic na to poradzić, bo go nie widziały. I wtedy przyszła im do głowy myśl, aby powołać spod ziemi kwiaty nocy, które zakwitają tylko raz w całym swoim istnieniu. I one widzą nawet wtedy, gdy wydaje się, że tam, pod ziemią, nikogo nie ma. I dobrze się stało, bo kwiaty nocy wypatrzyły Głód. Cały ogród zaniósł się takim zapachem i takim kolorem wspaniałym, że zagarnął Głód i zagonił do jego stałego zakątka.

Śmieszne było Obżarstwo. Było oczywiście grube i nie szło, ale toczyło się po drogach. Kwiaty patrzyły na nie z pobłażaniem, nieraz z politowaniem albo też parszając ze śmiechu. Zwłaszcza gdy toczyło się z góry i nie mogło się w żaden sposób zatrzymać.

Obżarstwo miało okrągłe oczy i pucłowatą twarz i patrzyło na kwiaty wciąż zdziwione, że one tu są. Najbardziej lubiło leżeć i gdy zbliżał się ślimak lub kornik, otwierało jedno oko i mruczało, aby mu nie przeszkadzać